

„WIERZĘ W ŻYWOT WIECZNY”

O WIECZNOŚCI DECYDUJE ŻYCIE ZIEMSKIE

Życie ludzkie na ziemi jest bardzo ważne, bo ono decyduje o całym życiu wiecznym człowieka po śmierci. Jeżeli człowiek łamał przykazania boskie i ludzkie, lekcewał sobie wszystkie przepisy, to z pewnością nie będzie szczęśliwy w przyszłym życiu. Zgotuje sobie więc karę wieczną. Życie nasze tu na ziemi ma jeszcze i dlatego ogromne znaczenie, że jak przez życie złe, człowiek gotuje wieczność nieszczęśliwą czy chce czy nie chce, tak też przez całe życie dobre na ziemi gromadzi sobie wiele zasług na niebo, na życie szczęśliwe. Pan Jezus na wielu miejscach zachęca do dobrego życia i do zbierania zasług na niebo:

„Nie troszczcie się o to (zbytnio) — mówi — co będziecie jedli, albo w co się będziecie ubierali. Spójrzcie na ptaki niebieskie... Przypatrzcie się liliom polnym... Szukajcie najpierw Królestwa Niebieskiego i sprawiedliwości jego, a to wszystko będzie wam przydane“ (Mt. 6, 25—34). A gdzie indziej poucza. „Nie skarbcie sobie skarbów na ziemi, gdzie rdza i mól psuje i gdzie złodzieje wykopują i kradną. Ale skarbcie sobie skarby w niebie, gdzie ani rdza nie zepsuje, ani mól stoczy, i gdzie złodzieje nie wykopują, ani kradną“ (Mt. 6 19—21). Za każdy dobry uczynek i za każdą nawet dobrą myśl, za kubek wody podany bliźniemu, obiecuje Pan Jezus: „Radujcie się, a weselcie, albowiem zapłata wasza obfita jest w niebiesiach“ (Mt. 5, 12).

W przypowieści o drzewie figowym, Pan Jezus upomina, że kto nie będzie miał owoców dobrych uczynków, podobny jest do drzewa, które wprawdzie ma liście, ale nie ma owoców. I każe Pan wyciąć takie drzewo i wyrzucić na spalenie (Łk. 13, 6—9).

DWIE ZAGADKI

Niemożliwe jest napełnienie Titicaco wodą do pierwotnego poziomu, gdyż runęłaby ona tędy, z wysokości 4.000 m, do Oceanu Spokojnego. Czyżby kiedyś cały ten teren leżał znacznie niżej, a może był po prostu zatoką Pacyfiku? Musiałoby więc nastąpić jakieś gwałtowne wypiętrzenie terenu do obecnej wysokości, co zostawiłoby niewątpliwe ślady, a tych brak zarówno w samym mieście, jak i na linii pierwotnego zasięgu jeziora. Warto jeszcze zaznaczyć, że linia brzegowa biegła dawniej inaczej niż dziś, a mianowicie — na północy znajdowała się ok. 100 m nad poziomem obecnego jeziora, na południu zaś ok. 200 poniżej poziomu. Baseny portowe — jak wskazują ślady — były dostosowane do tej krzywizny.

Same wody jeziora są słone, co prawda nie w takim stopniu jak wody Pacyfiku; mają wszakże chemiczny składnik wody morskiej. W faunie jeziora również są gatunki oceaniczne.

Jednym słowem same zagadki. Dzieje miasta i jeziora stanowią tajemnicę, giną w mrokach przeszłości. Niektórzy uważają, że Tiahuanaco jest najstarszym miastem nie tylko Ameryki, ale w ogóle. Czas jego powstania, jego rozkwitu i bujnego życia cofają tysiące, a nawet dziesiątki tysięcy lat wstecz.

Czy tajemnica TITICACO a równocześnie i TIAHUANACO zostanie kiedyś rozwiązana? Przyszłość pokaże.

L. Ziemski

Koniec

POZNAJMY SIĘ

Kochane Słoneczko!

Bardzo pragnęłabym, abyście umieścili moje imię i nazwisko w „Słoneczku”.

Pragnę bowiem korespondować z Koleżankami i Kolegami z kraju i za granicą.

Interesuję się bardzo piosenkami.

Mój adres: **MODZELEWSKA MARIA** Warszawa — 91 ul. Modlińska 193

*

Chciałabym korespondować z kolegami i koleżankami z kraju. Wymieniać zdjęcia aktorek i piosenki. Chodzę do 6 klasy i mam 13 lat. Więc proszę bardzo Redakcję o umieszczenie mego nazwiska w „Słoneczku”.

MARIA KORYTOWSKA Rogoźno Wlkp. ul. Nowa 82 woj. Poznań

PRAWDZIWE SYRENY MORSKIE

Do państwa Modrzewskich w Szczecinie-Dąbiu przyjechali znajomi z Warszawy. Byli to Szubinscy z córką i synem — Elżbietą i Edziem i Jaworscy z trzema synami: — Zbyszkciem, Witkiem i Dariuszem. Modrzewscy byli bezdzietni.

Pogoda była piękna. Toteż Szubinscy i Jaworscy z panią Modrzewską i dziećmi niemal całe dni spędzali nad pięknym Jeziorem Dąbskim, wpadającym do Zalewu Szczecińskiego, a stąd razem z wodami Odry, do Bałtyku.

Dorośli, leżąc, opalali się i opowiadali sobie przeróżne historie. Dzieci natomiast wałęsały się po brzegu plaży i pobliskich krzakach.

— Mamusiu — spytała Elżbietka — czy możemy wszyscy razem iść i bawić się?

Rodzice przyzwolili.

Dzieci jakiś czas szły brzegiem jeziora.

— Nudne jest takie łożenie bez celu. Bawmy się — zaproponował Zbyszek Jaworski.

— Ale w co? — spytała Elżbietka.

— W leśnych ludzi — rzekł Darek.

— Przecież tu nie ma nigdzie lasu — powiedział Edzio Szubiński.

— A może zabawilibyśmy się w rozbitków. Tu jest dużo wody. Wyobraźmy sobie, że statek nasz rozbił się, a nas fale wyrzuciły na nieznany ląd. — zaproponował Darek.

— Wspaniała myśl! — zawołali wszyscy i przyklasnęli pomysłowi.

— Dobrze, a kim kto z nas będzie? — spytała Elżbietka.

— Ja będę kapitanem — rzekł Darek — Zbyszek będzie sternikiem, Edzio uczonym podróżnym, Witek bosmanem, a ty, Elżbietko, kucharzem. Zgoda?

— Niech będzie! — odpowiedzieli świeżo zamianowani i obdzieleni funkcjami rozbitkowie.

„Rozbitkowie” idąc jakiś czas rozglądali się na wszystkie strony, starając się możliwie wiernie odtworzyć sytuację i przeżycie prawdziwych bohaterów.

Szli na północ.

— Co to może być za ląd? Idziemy już cały dzień i nie możemy natrafić na żaden ślad życia ludzkiego, ani dojść do jakiegos brzegu, by na morzu wyglądać pomocy — powiedział uczony podróżny.

– Pan profesor jest dopiero pierwszy raz w podróży i do tego rozbitkiem? – spytał Kucharz.

– Niech mnie ręka Boska broni od podobnych przygód na przyszłość. Pierwszy raz wyjechałem na prawdziwe morze, by zbadać czarny ląd Afryki, a los mnie rzucił na ten nieznaną, przeklętą ląd.

– Och, z wami szczury lądowe zawsze jest pełno kłopotu nie tylko w podróży, ale i w przygodzie – mruknął Kucharz.

– Głodny jestem – rzekł Uczony.

– Panie Kapitanie, a może byśmy tak zapolowali na jakąś zwierzynę? – spytał Bosman.

– Masz rację, chłopie! – zgodził się Kapitan. – Nabijcie strzelby!

– A skąd je wziąć? – uśmiechnął się Sternik. – Przecież strzelby nasze poszły na dno.

– Prawda! – podrapał się w głowę Kapitan.

– Zróbmy więc łuki, panie Kapitanie – dodał Kucharz.

– Dobrze radzisz, Kucharzu, w nagrodę za to otrzymasz największy kawał upolowanego mięsa.

Z ułamanych gałązek wikliny zrobiono łuki i z bronią gotową do strzału rozbitkiem ruszyli w dalszą drogę. Szli w milczeniu, by nie spłoszyć zwierzyny. Podchodzili do kępy krzaków.

– Uwaga! – syknął Kapitan wrastając w ziemię. – Tam w tym gęstym lesie coś zaszleściło!



Nastąpiła cisza, którą przerywał szmer liści poruszanych wiatrem.

— To jakiś wielki zwierz! — szepnął Sternik.

— Musimy urządzić zasadzkę i okrążyć zwierzę, by potem ze wszystkich stron na nie uderzyć — powiedział Bosman.

— Kapitan wydał odpowiednie rozkazy.

Pobledli z emocji „rozbitkowie”, dokładnie wykonali rozkaz Kapitana.

— Hop! Hop! Hurraaa! — rozległ się krzyk z przeciwnej strony. To naganiacze Bosman i Sternik płoszyli zwierza.

— Kapitan dał znak podejścia bliżej.

Ruszyli w stronę gąszczy.

— Słyszycie? — szepnął Kapitan. — Zwierz idzie. Profesor i Kucharz przytaknęli głowami.

— Ja pierwszy strzelę, a potem dopiero wy — powiedział po chwili Kapitan.

Upłynęło kilka sekund. Kapitan przygotował się do strzału. Wiatr poruszył liśćmi gałęzi.

— Paf! — wrzasnął Kapitan i rzucił patykiem, niby strzelając z łuku, w gąszcz krzaków.

— Paf! Paf! Paf! — posypało się ze wszystkich stron.

Po tych strzałach nastąpiło znowu milczenie.

— Trafiony! — zawołał po chwili Kapitan i rzucił się w krzaki.

— Nagle umilkł i cofnął się.

— Co się stało, Kapitanie? — spytał Kucharz.

— Tam, tam jest... jest ktoś? — wybąknął.

— Gdzie?

— Tam leży jakiś człowiek! — Jakiś sta.... — nie dokończył, bo z krzaków wyszedł wysoki, barczysty, z dużą siwiejącą brodą i rozczochraną głową.

Na widok brodatego mężczyzny dzieci cofnęły się.

Stary pan uśmiechnął się.

— Skąd wy jesteście? — spytał.

— Z Warszawy — odpowiedział Darek Jaworski.

— Z Warszawy? — zdziwił się nieznajomy. — To wy jesteście na koloniach? Gdzie mieszkacie?

— U państwa Modrzewskich — powiedziała Elżbieta.

— U tego inżyniera ze stoczni?

— Tak! — odpowiedziały dzieci.

— A dlaczego tak przestraszyliście się?

— Bo myśmymy, proszę pana, bawili się w rozbitków — powiedział Zbyszek.

— W jakich rozbitków?

— W rozbitków wyrzuconych przez fale na brzeg nieznanego łądu.

— Kochacie morze? — spytał znowu nieznajomy.

— Tak, proszę pana! — zawołał Darek. — Ja chciałbym zostać marynarzem, prawdziwym marynarzem.

— Ja też!... I ja!... I ja! — dodali szybko inni.

Starszy pan zmarszczył czoło, pogłaskał siwiejącą brodę, spojrział w kierunku wody i uśmiechając się, powiedział:

— Morze... Piękne morze!... Tam dopiero człowiek czuje się człowiekiem!...

— Pan zna prawdziwe morze? — spytała Elżbietka.

— Znam, córeczko, znam. Trzydzieści sześć lat jako bosman żyłem na morzu. Dwadzieścia razy byłem rozbitkiem, stoczyłem wiele walk z rozszalałym żywiołem, brałem udział w wojnach morskich...

— Proszę pana, niech nam pan opowie o tym — poprosił Darek.

Nieznajomy spojrział na dzieci i uśmiechając się powiedział:

— Jeżeli chcecie i macie czas, to usiądźcie, a opowiem wam.

Dzieci natychmiast siadły na zielonej trawie. Starszy pan również usiadł i patrząc na dzieci zaczął snuć opowieści o różnych przygodach morskich, o łądach, o oceanach, nieznanymi i kolorowymi ludziach, o zwierzętach morskich.

Umilkł. Dzieci patrzyły w ziemię. Skubiąc trawę przeżywały opowiadane historie.

Stary bosman u Witka Jaworskiego na pasku od spodni zauważył mały znaczek z syrenką warszawską.

— To herb Warszawy, prawda? — spytał wskazując wzrokiem znaczek.

— Tak, proszę pana! — odpowiedziały dzieci.

— Widziałem również prawdziwe syreny morskie...

— To syreny są naprawdę? — spytał Zbyszek.

— Tak! Są!

— Takie, jak w herbie pół ryba, a pół kobieta? — spytała Elżbietka.

— Nie. Takie istoty nie żyją. Nie ma w żadnym morzu syreny, która z rozpuszczonymi włosami, siedząc na stromym brzegu usiłowałaby cudownym swym śpiewem zwabiać ku sobie żeglarzy na zatracenie w czeluściach morskich. Prawdziwe syreny nie są również podobne do małych syrenek, opisanych przez Andersena w jego bajkach, które mieszkają na dnie oceanu w kryształowym pałacu o bursztynowych oknach.

— A jak, proszę pana, wyglądają prawdziwe syreny morskie? — spytała ciekawie Elżbietka.

Stary bosman wyciągnął dużą czarną fajkę, napełnił ją tytoniem, zapalił i ciągnął dalej:

(Dokończenie na str. 8)

Do
Redakcji „SŁONECZKA”
w Tygodniku „RODZINA”

DROGA REDAKCJO!

Jestem stałą czytelniczką Twojego pisma „Rodzina” a szczególnie interesuje mnie „Słoneczko”. Po przeczytaniu artykułu „Nasi Rodzice” doszłam do przekonania, że i ja mogłabym coś na temat moich rodziców napisać.

W bieżącym roku ukończyłam Szkołę Podstawową i obecnie pomagam rodzicom w domu przy gospodarstwie. Ojciec mój pracuje w pobliskiej kop. „Jowisz”, natomiast manusia jest gospodynią domową. Mam jeszcze troje młodszego rodzeństwa, dwóch braci i jedną siostrę. Rodzice moi dużo włożyli trudów w to, by nas wychować, byśmy mieli dach nad głową, byli czysto ubrani i nie chodzili głodni. Ja osobiście patrząc na wielu ojców, których pochłonął alkohol i porównując ich z moim tatusiem, to dużo mu mogę z tego tytułu zawdzięczać, gdyż widzę jego troskę o wychowanie nas.

Jestem przekonana, że rodzice kochają nas bardzo, chociaż nieraz dobrze dostaną się do naszej skóry, gdy coś przewinimy. Nie biorę im tego wcale za złe, gdyż wiem, że czynią to dla naszego dobra, by ustrzec nas przed wkroczeniem na złą drogę.

W marcu br. została założona u nas parafia polskokatolicka, której jesteśmy szczerymi wyznawcami, chociaż i z tego tytułu rodzice moi wraz z nami są prześladowani przez wyznawców Kościoła Rzymskokatolickiego. My jednak nic z tego sobie nie robimy, gdyż jesteśmy przekonani, że Kościół ten jest Kościołem prawdziwym, a jednocześnie wiemy też o tym, że Jezus Chrystus, będąc na ziemi, też był prześladowany i w końcu zawisł na krzyżu. Obecnie martwi nas to, że nie mamy kościoła.

Kaplica, którą mamy jest zbyt mała by mogła nas pomieścić, byśmy się mogli schronić przed słońcami i nadchodzącą zimą.

Mamy jednak nadzieję, że przy pomocy Kurii Biskupiej, będziemy mogli problem ten rozwiązać.

Kończę, przesyłam gorące pozdrowienia dla całej Redakcji.

ZDZISIAWA SZYDŁO, Strzyżowice

— Prawdziwe syreny przypominają swym wyglądem jakieś otyłe i pozbawione sierści foki lub też cielska pewnych gatunków wielorybów. — Widzieliście może gdzieś foki?

— Tak, proszę pana, u nas w warszawskim ZOO są foki! — zawołał Witek.

— Inaczej też syreny nazywają się krowami morskimi, a to dlatego, że z wyglądu nie są zbyt ponętne i odżywiają się wszelkiego rodzaju roślinami wodnymi i błotnymi. Syreny należą do zwierząt ssących. Na lądzie poruszają się bardzo niezdarnie, peizając za pomocą odnóży przednich i opierając się na poprzecznie ustawionej płetwie ogonowej. Żyją przeważnie parami i w niewielkich stadach. Syreny, jak zresztą wszystkie zwierzęta roślinożerne, są mało inteligentne. Dawniej syren morskich było kilka rodzajów. Do obecnie żyjących syren morskich należą atlantyckie brzegowce oraz długonie, zamieszkujące Ocean Indyjski.

Brzegowce zamieszkują bardziej dziewicze obszary w dorzeczach Orinoko, Amazonki, a także Senegalu, Nigru i Kongo. Wiecie, gdzie to jest?

— Wiemy! Wiemy, proszę pana — odpowiedzieli młodzi warszawiacy.

— To dobrze, że wiecie. Brzegowce więc występują zarówno w słonawych przejściowych wodach, jak też i w górnych odcinkach wymienionych rzek. Są to więc zwierzęta morsko-rzeczne.

Długonie natomiast są wyłącznie zwierzętami morskimi, a ponadto, w odróżnieniu od brzegowców, prowadzą przeważnie nocny tryb życia. Dzisiaj dość duże stadka długoni spotyka się w wodach Morza Czerwonego, u brzegów Madagaskaru, Nowej Gwinei i północnej Australii.

Syreny są dzisiaj bardzo rzadkimi zwierzętami, gdyż w przeszłości zostały przetrzebione przez człowieka.

— Dlaczego?

— Bo tłuszcz po przetopieniu przypomina masło wiejskie, a mięso wyborową wieprzowinę.

Do uszu dzieci dobiegło wołanie:

— Daarek!... Zbyszek... Elżunia! Edziu!..

— Kto to woła? — spytał stary bosman.

— To rodzice nas poszukują. Musimy już iść, bo jutro mamy jechać do Międzydrojów nad morze — powiedział Darek.

— A czy to prawda, że w morzach żyją groźne potwory, które mogą szkodzić ludziom? — spytała Elżbietka.

— Prawda, moje dziecko, ale o nich opowiem innym razem, jak się spotkamy. Do zobaczenia więc.

— Do widzenia panu! Dziękujemy bardzo! — powiedziały dzieci i odwróciwszy się szybko pobiegły ku rodzicom.